



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Tadeusz Brzeziński

Zanim przyszła wolność

Zbliżający się rok szkolny zapowiadał się jako wyjątkowy. Nerwowo nastrój, szła zakupów na wypadek, gdyby wybuchła wojna, poszukiwanie maseczek przeciwigazowych – wszystko to robiło na ówczesnym dziesięciolatku wrażenie czegoś niezwykłego, ciekawego, choć nie niepokojącego. Wojna. Przecież znałem ją tylko z opowiadań rodziców, którzy przeżyli pierwszą wojnę światową i z patriotycznych wierszyków' wygłaszanych na okolicznościowych akademiach. Moja mama nie poddała się szaleństwu kupowania wszystkiego. Zaopatrzyła się jedynie w duży zapas soli. Twierdziła, że w czasie pierwszej wojny za sól można było zdobyć wszystko.

Pierwszego września wyruszyliśmy jak zwykle na poranne zakupy na bazar na Radzymańskiej. Piękna pogoda tego dnia nastrajała optymistycznie, a zbliżający się rok szkolny cieszył, bo lubiłem moją szkołę i kolegów. Dziwny to był dzień. Syreny alarmowe zapowiedziały kolejny „próbny” alarm lotniczy. Ćwiczenia jednak przebiegały odmiennie od dotychczasowych. Strzały z artylerii przeciwlotniczej brzmiały inaczej, a wkrótce usłyszeliśmy detonacje, których dotychczas nie było. Przystający na ulicach ludzie zaczęli uświadamiać nam, że to już nie ćwiczenia, a wojna, która wybuchła dzisiejszej nocy. Wszyscy rozpięchli się po okolicznych bramach. Wkrótce mieliśmy przekonać się, że to naprawdę wojna. Zobaczyliśmy pierwszy zburzony budynek na pobliskiej ulicy Łomżyńskiej.

Dom, w którym mieszkaliśmy, położony był na obrzeżach miasta, w pobliżu krzyżujących się torów kolejowych i fabryki Avia. Przekonanie, że są to obiekty strategiczne, mogące zachęcać lotnictwo niemieckie do ich zniszczenia i powtarzające się naloty na naszą dzielnicę sprawiły, że postanowiliśmy przenieść się do bezpieczniejszego miejsca. Wybraliśmy mieszkanie mojej ciotki w eleganckiej kamienicy na rogu Świętokrzyskiej i Czackiego. Wuj był pracownikiem Ministerstwa Skarbu. Wydawało się nam, że zamieszkałe przez cywilów centrum miasta będzie bezpieczne. I tak początkowo było. Ale stopniowo naloty intensyfikowały się. Coraz częściej, zamiast w przestronnym i pięknym mieszkaniu, przyszło przebywać nam w piwnicy budynku, łączonej przebitymi przejściami z sąsiednimi domami, w tym z położonym w najbliższym sąsiedztwie „Domem Technika” przy ul. Czackiego 1/3. Mieszkańcami piwnic oprócz miejscowych lokatorów byli także przybyli do nich (jak my) znajomi i krewni. Wśród lokatorów wielu zamożnych Żydów, bo przecież ulica Świętokrzyska pełna była prowadzonych przez nich sklepów i antykwariatów. Pamiętam jak dziś tragiczne święta – Sądnny Dzień i Kuczki. To właśnie w sam Sądnny Dzień, wśród pozornego spokoju, rozbił się na podwórzu domu pocisk, zabijając 14-letnią Żydóweczkę. Mała ranka na czole nie wydawała się groźna, ale śmierć była natychmiastowa. Pierwszy bliski zgon. Rozpacz rodziców, przekonanie o boskim znaku i próba mimo wszystko rytualnego świętowania „Kuczek” – stwarzały tragiczne i niesamowite wrażenie.

Któregoś dnia na podwórze naszego domu zawitał oddział żołnierzy. Młodzi chłopcy byli przyjmowani i goszczeni przez mieszkańców jak najbliżsi. Zmęczenie po przebijaniu się do Warszawy z pobliskiej Puszczy Kampinoskiej i beznadziejność walki oblężonej stolicy nie odbierały im wiary w zwycięstwo.

Pamiętam jak przez mgłę spotkanie moich rodziców z dyżurującym przedstawicielem Komitetów Obywatelskich – Igo Symem. Był to ich znajomy z okresu wojny polsko-bolszewickiej. Byłem dumny, że rodzice znają takiego popularnego aktora. Po latach, kiedy wykonano na nim wyrok organizacji podziemnej, poznałem inną stronę jego działalności. Właśnie – działalność agenturalna. Roilo się od prawdziwej i urojonej. Pamiętam jak dorośli, zaniepokojeni tajemniczymi błyskami świateł w Domu Technika, brali je za sygnały dla nieprzyjacielskiego lotnictwa. Poszukiwania dywersanta w budynku nie dały jednak rezultatu. Czym te światła były naprawdę?

Tymczasem pozornie spokojny teren stawał się coraz bardziej niebezpieczny. Zlokalizowany na Placu Napoleona „drapacz chmur” – Prudential – był ulubionym obiektem ostrzału niemieckiej artylerii. Zapewne hitlerowcy wiedzieli też o pobliskiej siedzibie dowództwa Armii „Warszawa”, u zbiegu Świętokrzyskiej i Nowego Świata. Nic więc dziwnego, że słyszeliśmy o coraz to nowych zburzonych domach w okolicy.

I wreszcie nastąpił pamiętny „lany poniedziałek” – 25 września. Do zgromadzonych w piwnicy dotarła wiadomość, że nasz dom płonie. Paliło się już pierwsze piętro. Przez piwnice sąsiednich posesji wyszliśmy z resztkami żywności i osobistych rzeczy na plecach na Plac Małachowski i Mazowiecką. Płonące po obu stronach budynki, spadające żagwie, pozwalały na poruszanie się tylko środkiem jezdni. Wśród dymu i ognia dotarliśmy do ul. Kredytowej 9. Tam w podziemiach budynku, o ile dobrze pamiętam w jakimś magazynie dywanów, był olbrzymi schron, w którym znalazło się kilka tysięcy ludzi. Brak wody, żywności, pomieszanie bezdomnych, niekiedy rannych i chorych – stwarzało obraz dziś nie do wyobrażenia. Tak przyszło nam dotrzeć do kapitulacji. Widok jaki zobaczyliśmy po wyjściu ze schronu przedstawiał się tragicznie. Cała dzielnica, w której szukaliśmy schronienia, była najbardziej zniszczoną częścią Warszawy. Wśród trupów ludzkich i końskich, wśród gruzów i dopalających się zgłiszcz, powracaliśmy na oszczędzoną przez działania wojenne Pragę. Oszczędzoną? Zburzony dom na przeciwnym rogu ulicy odsłonił naszą kamienicę. Nasze skromne, dwuizbowe mieszkanie, zostało częściowo zniszczone przez pocisk artyleryjski. W gruzach znalazł się jeden pokój i wszystko, co się w nim znajdowało. Zostaliśmy bez żywności, odzieży, mieszkania. Koczowanie w kuchni było możliwe tylko na krótką metę. Pamiętam, jak wybraliśmy się ze starszą o pięć lat siostrą na pobliskie pola, gdzie uprawiano warzywa. Były już zebrane, ale udało się znaleźć kilka liści kapusty, jakieś pozostawione buraki, fasolkę. Barszcz małorosyjski, jaki powstał z tej mieszaniny resztek warzywnych, był chyba najsmaczniejszą zupą, jaką pamiętam. Byłem dumny, że to ja rozwiązałem pierwsze problemy żywnościowe.

Dowiedzieliśmy się, że nasz sąsiad pan Franz Hoppe był podejrzewany o działanie w V kolumnie i został czasowo aresztowany. Natomiast jego żona, czy konkubina, pani Gertruda Scharmach wraz z innymi Niemcami zagnana została do kopania rowów przeciwlotniczych, gdzie nie szcędzono jej upokorzeń. Co robili później? Mieszkali do końca okupacji w naszym domu. Pan Hoppe był zawsze postacią tajemniczą. Nigdy nie dowiedzieliśmy się gdzie pracował, kim był naprawdę. Pani Scharmach, kiedy odbywały się w okolicy łapanek, przechowywała w swoim mieszkaniu sąsiadów-mężczyzn. Wraz z cofającą się armią niemiecką oboje wrócili do Niemiec.

Na czas doprowadzenia do porządku mieszkania trzeba było szukać lokum zastępczego. Przenieśliśmy się z mamą i siostrą do Wawra, do stryjenki – wdowy z dwoma synami w wieku 14 i 15 lat. Było to kilka tygodni względnie normalnego dzieciństwa. Uganianie się za piłką na pobliskim boisku, męskie uświadamianie przez starszego o lat cztery stryjecznego brata, ale i pierwsze próby zarabiania na życie. Wieczory wypełnione nabijaniem gilz tytoniem, a następnie sprzedawanie tak przyrządzonych papierosów na wawerskim dworcu.

Wreszcie powrót do własnego mieszkania. Z domu naprzeciwko wydobywano właśnie zastygłe zwłoki mieszkańców, w pozach świadczących o ich tragicznych ostatnich chwilach. Właściciel naszej kamienicy, znany warszawski krawiec Adolf Zaremba, postarał się, aby dziurę w murze zamurowano. Reszty dokonali rodzice i znów można było mieszkać i wrócić do szkoły. Zaczęła się właśnie nauka w klasie piątej.

Szkoła, do której chodziłem, znana była z patriotyzmu i lewicowych tradycji. Nosiła imię Powstańców 1863 roku i weteranów tego powstania gościła na każdej uroczystości. Kierowniczka – pani Helena Ciesielska, wdowa po działaczu socjalistycznym i sama wyznające te idee – była wzorem prawości i uczynności. Otaczała się też podobnym sobie gronem nauczycielskim. O naszym ukochanym wychowawcy z klasy IV, panu Kałużnym, mówiono, że zgłosił się na ochotnika jako „żywa torpeda”. Nie pamiętam go z okresu wojny i nie wiem, co się z nim stało. Pojawił się natomiast nowy nauczyciel – od języka niemieckiego. Starszy, siwy pan, o dostojnym wyglądzie, nie znający polskiego. Kiedy natrafiał na trudności w opanowaniu języka przez uczniów, ten pozornie dostojny pan dostawał ataków szału.

Wymyślał i bił czym popadło: ręką, trzcina, zdarzało się i kopnięcie. Dotychczas nie znaliśmy takich metod wychowawczych. Nasi nauczyciele nie mieli jednak na niego wpływu. On był wszechwładny.

Wiedzieliśmy o kłopotach naszej pani kierowniczkii. Kiedy zaczęto zamykać Żydów w getcie, dobrowolnie poszła tam jej jedyna córka, zamężna za Żydem. Widzieliśmy jaki mógł być jej los. Spotykaliśmy pędzone do różnych prac gromady ludzi z opaskami z gwiazdą Dawida.

Dwa lata szkoły powszechnej przeszły stosunkowo szybko. To z tego okresu pochodziła moja przyjaźń z Wojtkiem Juszczykiem. Ten inteligentny chłopak o delikatnej urodzie bardzo mi imponował. Zabiegałem o tę przyjaźń. Syn inżyniera, siostrzeniec dyrektora pobliskiej fabryki, mieszkający w obszernym, eleganckim mieszkaniu, położonym na jej terenie – był przedstawicielem środowiska, do którego miałem aspiracje należeć. Moje bardzo dobre wyniki w nauce, a także dobre wychowanie – otwarły mi drzwi do tego domu. Razem snuliśmy marzenia o przyszłości. Wojtek myślał o nauce w państwowym gimnazjum (oczywiście nie braliśmy pod uwagę, że wojna może skończyć się inaczej jak wypędzeniem Niemców). Ja raczej miałem przed sobą wizję szkoły prywatnej. Choć sytuacja materialna rodziców była raczej przeciętna, ambicje wykształcenia dzieci dawały pewność, że nie poprzestaną na powszechnej. Ale wojna się nie kończyła. Trzeba było myśleć o przyszłości.

Boleśnie przeżyliśmy wawerską tragedię. Pierwsza wojenna egzekucja mogła dotknąć i naszą rodzinę. Starszy ze stryjecznych braci, wówczas szesnastoletni, w ostatniej chwili został odrzucony z grona aresztowanych (pięć lat później zginął w obozie w Sachsenhausen). Jedyny ocalały spośród rozstrzelanych (o ile pamiętam pan Piegat), był też osobą znaną moim bliskim. Wielokrotnie przechodziliśmy obok drzwi restauracji, w której został powieszony jej właściciel. Była to zapowiedź grozy, jaka czekała nas w następnych latach.

Tymczasem z powodu zamknięcia przez okupanta szkół ogólnokształcących zaczęło działać tajne nauczanie. Nie wiem, czy od pani kierowniczkii czy od księdza prefekta Szczepana Blezienia dostałem adres miejsca, gdzie odbywały się zapisy na tajne komplety gimnazjum Władysława IV. Był to rok 1941. W jednym z pawilonów byłego Instytutu Weterynaryjnego na Grochowskiej przyjmowali przedstawiciele tej konspiracyjnej szkoły. Na początku było badanie lekarskie, z którego chłopcy wychodzili zarumienieni. Później rozmowa z panem, który organizował komplety i deklaracja, że lekcje mogą odbywać się także w naszym mieszkaniu. I adres, gdzie mamy się spotkać na pierwszej lekcji. No i jeszcze adres szkoły zawodowej, która miała mi wystawić fikcyjną legitymację szkolną.

Pierwsza lekcja odbyła się w mieszkaniu rodziców Leszka Wieczorkiewicza, przy ulicy Otwockiej 12. Tam spotkał się pierwszy komplet w składzie: Leszek, mój przyjaciel Wojtek (nie wiedzieliśmy o swoich wzajemnych staraniach), Adaś Majczyna, Rysio Zacharski, Stefan Durst, Staś Hillebrand i ja. Może jeszcze ktoś – nie pamiętam dokładnie. Później lekcje odbywały się naprzemiennie w mieszkaniach wszystkich uczestników, z wyjątkiem Rysia. Pierwsze grono nauczycielskie to: biolog i geograf prof. Franciszek Sparrow (jednocześnie wychowawca kompletu), historyk prof. Porodko, polonista prof. Józef Sosnowski, germanistka prof. Wierzbicka, łacinnik prof. Flak, matematyk – chyba prof. Jabłoński. Religii w pierwszej klasie nie było, później prowadził ją nasz szkolny prefekt, prawy i tolerancyjny Salezjanin ks. Szczepan Blezień. Zmiany profesorów następowały bardzo często. Chyba najczęściej zmieniali się historycy. Jeszcze pod koniec pierwszej klasy pożegnaliśmy na Cmentarzu Powązkowskim prof. Porodko, który wszczepił mi umiłowanie historii starożytnej. Kolejnym nauczycielem był pan Waśniewski (czy Wasnowski) – raczej dziennikarz niż nauczyciel, który lekcje ubarwiał aktorskim zachowaniem. Kiedy mówił o ukryciu się nieprzyjaciela, potrafił głowę chować pod stół. Często zajęcia kończył opowieścią o ucieczce, pospiesznie opuszczając mieszkanie, w którym odbywały się lekcje. Po nim krótko uczył nas profesor Uniwersytetu Warszawskiego Stanisław Arnold – dostojny, elegancki i zawsze zadbany, mimo trudnych warunków wojennych. Prowadził lekcje ciekawie, ale niestety krótko. Któregoś dnia nazwisko jego wyczytaliśmy na liście zakładników, a jeśli się nie mylę wkrótce także na liście rozstrzelanych. Wojnę jednak przeżył. Wydobyty z Pawiaka, resztę czasu okupacji spędził w ukryciu. Po wojnie był jednym z czołowych polskich historyków. Zastąpiła go pani profesor, która utraciła we wrześniu rękę i nie ukrywając swoich lewicowych przekonań i lewicowej przynależności organizacyjnej, opowiadała o swoich spotkaniach z robotnikami. Przekonywała nas, że jedną ręką wykończy więcej wrogów, niż my swymi dwiema. Wydaje się, że po wojnie była autorką podręczników szkolnych historii i cieszyła się uznaniem władz. Nie jestem pewien jej nazwiska, dlatego tutaj go nie przytaczam.

Nauczycielem od wszystkiego był wspomniany już prof. Flak. Uczył nas łaciny, za wyjątkiem drugiej klasy, w której lekcje przejął docent Wolnej Wszechnicy Polskiej Wiktor Wąsik. Ten niewysoki, korpulentny pan, budził lęk, ale i wesołość. Pieszczotliwie zwracał się do nas przez „baranie” bądź „kapuściana głowo” i nie szczędził dwój, które zaczęliśmy traktować jako normę. Pamiętam, jak w poczuciu niesprawiedliwości, kiedy Wąsik pochwalił mnie na początku lekcji, a następnie postawił dwóję, zwróciłem się o wyjaśnienie dlaczego. Tłumaczenie było proste: „Widzisz baranie, pochwaliłem cię, bo umiałeś trzy razy tyle, co na ostatniej lekcji, na której nie umiałeś nic. A trzy razy nic – to jest nic i za to należy się dwója”. Czy można było to wytłumaczyć bardziej logicznie? Nic więc dziwnego, że

powrót prof. Flaka, który uczył nas także niemieckiego, po krótko nauczającym prof. Ruppie, przywitaliśmy z radością. Ale poczciwość jego sprawiała, że nie szczędziliśmy mu żartów. Biedny, z trudem wiążący koniec z końcem, chętnie korzystał z papierosów w domach, w których prowadził lekcje. Któregoś dnia poczęstowaliśmy go papierosami, zawierającymi sproszkowaną aspirynę, której dostarczył syn lekarza Stasio. W miarę palenia po pokoju rozchodził się duszący zapach, przyprowadzający nas o ból głowy i mdłości. A profesor? Ze stoickim spokojem powiedział: „Chyba twoja mamusia dodaje do papierosów mentolu, bo takie smaczne”. Odechciało się nam płatać mu figle. Ale nie zmieniło to naszego doń stosunku. Pamiętam do dziś fragment wierszyka, który ułożyłem o naszych profesorach:

*A nasz pan profesor Flak
ma nos czerwony jak rak
łacina nam w leb ładuje
i ciągle się denerwuje
a co pięć minut pogada
zaraz „Kogutka” zajada.*

Prawda. „Kogutki” – popularne proszki od bólu głowy magistra Gąseckiego, to druga po papierosach pasja profesora.

Inną pasję miał nasz pierwszy wychowawca prof. Sparrow. Były to znaczki pocztowe. Kiedy wyciągnęliśmy go na rozmówki o ciekawszych okazach, pantofelki i stułbie musiały poczekać, aż wyczerpie się temat filatelistyczny. Chętnie podejmował dyskusje z moją mamą o żywieniu dzieci w czasie wojny, a ponieważ lekcje biologii odbywały się w kuchni naszego mieszkania, okazje ku temu były częste. To jemu zawdzięczam płatki owsiane, jakie pojawiły się w śniadaniowym menu, a których nie cierpiałem.

Kłopoty z zaopatrzeniem w żywność sprawiły, że mama moja nawiązała kontakty ze swoją dalszą rodziną we wsi Ostrożeń koło Żelechowa. Żyła tam blisko dziewięćdziesięcioletnia siostra mojej babki, której nie znałem, gdyż zmarła we wczesnym moim dzieciństwie. Oprócz niej jacyś dalsi kuzyni, których stopnia pokrewieństwa nie umiałbym określić. Początkowo koleją do Sobolewa, a później furmanką do wsi jeździła moja mama. Kupowała żywność dla nas i na sprzedaż, bo w Warszawie było o nią ciężko. Był to szlak „szmuglerski”, choć trudno szmuglem nazwać te ilości, jakie mogła od czasu do czasu przywieźć ta drobna, schorowana kobieta. Ale i to odbywało się z narażeniem życia. Pamiętam, jak z jednej z takich wypraw wróciła pobita przez żandarma na sobolewskim dworcu. Ale w samym Ostrożeniu Niemcy bywali rzadko. Nie pamiętam, w którym roku, musiał to być jednak początek okupacji, postanowiliśmy spędzić tam wakacyjny miesiąc. Był to mój pierwszy kontakt ze wsią. Pierwszy też raz zobaczyłem żydowskie miasteczko – Żelechów. Jeździliśmy tam na jarmarki. Poznaczeni już gwiazdami Dawida i potrącani przez granatowych policjantów i Niemców Żydzi, żyli jeszcze dość swobodnie i prowadzili handel jak przed wojną. Specyficzna atmosfera jarmarku, gwar i przekrzykiwania, brody i jarmułki – to niezapomniany obraz, jakby żywcem z XIX wieku. Wkrótce jednak wywieziono Żydów do getta i miasteczko zamarło. W kolejnych latach spotykałem już tylko Żydówki i dzieci żydowskie, przychodzące z lasów i innych ukryć po żywność do znanych im gospodarzy. Otaczało ich współczucie i życzliwość. W tej wsi było to normalne.

Tymczasem w szkole nabieraliśmy coraz większej pewności siebie. Komplety – początkowo 5-6 osobowe, liczyły już po kilkunastu uczniów. Wynieśliśmy się więc z domów prywatnych, a lekcje zaczęły odbywać się w pomieszczeniach strychowych szkoły specjalnej u zbiegu Radzymińskiej i Ząbkowskiej, w podziemiach Bazyliki i w pomieszczeniu zgromadzenia sióstr przy ul. Kawęczyńskiej. W miarę jak przybywało nam lat (razem z Wojtkiem należeliśmy do najmłodszych) koledzy szukali kontaktów z organizacjami podziemnymi. Nikt się jednak tym nie chwalił. Obowiązywała ścisła konspiracja i oddzielenie działalności organizacyjnej od też przecież tajnego nauczania. Ja póki co zająłem się działalnością w Krucjacie Eucharystycznej, którą też nielegalnie prowadził mój prefekt. Wraz ze starszą ode mnie Celestyną Czarnotą prowadziliśmy żeńskie i męskie grupy dzieci ze szkół powszechnych, ucząc ich prawd wiary i jednocześnie organizując ich społeczne współżycie. Ile w tym było społecznego działania (często włączaliśmy do tego pomoc najuboższym), a ile dewocji, trudno mi dzisiaj ocenić. Nasza wiara była wówczas szczerą i pomagała nam znosić przeciwności losu. Wtedy pomyślałem, żeby zostać księdzem. Czasami później dyskutowaliśmy o tym z kolegą z trzeciej już klasy – Jankiem Baszkiewiczem, który zamierzał zostać Jezuitą, doceniając intelektualne walory tego zakonu. Ale wcześniej trafiłem pod opiekę o.o. Marianów. Przy poparciu mojego prefekta zostałem skierowany na kolonię dla chłopców, prowadzoną przez ten zakon. Był to właściwie wspólny wyjazd mieszkańców domu wychowawczego (prawie „poprawczaka”) i szkoły zawodowej z internatem, prowadzonych przez tych księży, do którego dołączono kilku chłopców skierowanych przez parafie. Kolonię zorganizowano w Gródku nad Bugiem. Reżim jaki wprowadzili wychowawcy, a zwłaszcza ksiądz dyrektor Jerzy Pawski, był bardzo surowy. Być może tak było trzeba. Było tam dużo chłopców trudnych, ale metody wychowawcze musiały budzić sprzeciw. Razy gumą, wymierzane za najdrobniejsze przewinienie

z sadystyczną zaciętością przez księdza dyrektora, pozostawiały na plecach sine ślady. Jeszcze głębsze ślady pozostawiały w duszy. Czarę goryczy przepelniał nakaz ostrzyżenia wszystkim głów do gołej skóry.

Byłem jednym z organizatorów ucieczki, na którą zdecydowało się nas chyba pięciu. Postanowiliśmy pieszo wrócić do domu do Warszawy. Przez Jabłonną Łąkę dotarliśmy do wsi Jabłonna Ruska. Do dziś wspominam życzliwość gospodarzy, którzy nakarmili nas i gotowi byli zapewnić nam nocleg. Ale za nami przybył już sympatyczny młody kleryk ks. Waloszek. To on namówił nas do powrotu zapewniając, że nie będziemy ostrzyżeni, a i kar żadnych nie poniesiemy. Od tej pory opiekował się nami on i młody, sympatyczny ks. Kania, student tajnego Uniwersytetu Warszawskiego, o ile wiem rozstrzelany później wśród zakładników. Nie przypominam sobie, aby ks. Pawski do końca obozu podniósł na kogoś rękę. Ale wówczas zobaczyłem po raz pierwszy inne oblicze przedstawicieli Kościoła.

Tymczasem nad kompletami zawisła czarna chmura. Aresztowano dyrektora szkoły prof. Zygmunta Usarkę, który posiadał całą ewidencję uczniów. Dostaliśmy polecenie ukrycia się. Wywędrowałem na Wolę do mojej ciotki i czekałem na dalsze wiadomości. Nasz prefekt, który był też kapłanem Armii Krajowej, odważnie wdarł się do mieszkania dyrektora i wy dostał stamtąd wszystkie kompromitujące dokumenty, zanim wpadły w ręce Gestapo. Sytuacja została uratowana, mogliśmy kontynuować naukę.

Było coraz trudniej. W miarę jak przybywało nam lat, rosło zagrożenie ulicznymi łapankami i egzekucjami. Pamiętam, jak przez kilka godzin po zakończeniu lekcji nie mogliśmy opuścić podziemi Bazyliki, bo trwała łapanka. Co kilka dni z niepokojem odczytywaliśmy obwieszczenia o zakładnikach i rozstrzelanych. Nie brakowało wśród nich znajomych i ojców chłopców. Pamiętam, jaką żalobą okryła się dzielnica, w której mieszkałem, kiedy na liście rozstrzelanych znalazł się miejscowy młody lekarz dr Wróblewski (czy Wesołowski), cieszący się powszechną sympatią za swój życzliwy stosunek do ludzi i ofiarność. Najbardziej bezpośrednio przeżyłem egzekucję w pobliżu pętli tramwajowej przy ulicy Radzymińskiej. Kiedy w kilka minut po odjeździe plutonu egzekucyjnego dotarliśmy z kolegami na jej miejsce, płynęły jeszcze strugi krwi. W kilka chwil pojawiły się kwiaty i zapalono świece. Resztki krwi i tkanki mózgowej zbierano jak relikwie. Ja też zebrałem kilka kropel krwi, które przechowywałem już do końca wojny we flaszeczce umieszczonej w biało-czerwonym pudełeczku. W kilka minut później przybyła kolejna ekipa oprawców, którzy usunęli kwiaty i ślady zbrodni. Były też i inne egzekucje, dokonywane na konfidentach przez podziemne organizacje. Wiedzieliśmy, że wśród ich wykonawców byli też nasi starsi koledzy.

Mieszkałem w dzielnicy robotniczej. Kilka domów zbudowanych w ostatnich latach przedwojennych było oazą nowoczesności wśród starych, pozbawionych podstawowych wygód kamienic. Moi rówieśnicy i nieco starsi chłopcy, którzy zakończyli edukację na szkole powszechnej, chwytali się różnych zajęć. Niektórzy zaopatrywali całą dzielnicę w węgiel, kradziony z przejeżdżających pobliskimi torami transportów. Często słyszeliśmy strzały, oddawane do nich przez chroniących transporty konwojentów. Nie pamiętam jednak, aby któregoś trafili. Imponowali mi odwagą. A ja imponowałem im swoją wiedzą wyniesioną ze szkoły. Pamiętam, jak wieczorami opowiadałem im o kosmosie (dziś się zastanawiam, skąd czerpałem te wiadomości), a oni słuchali z zainteresowaniem. Gdyby oceniać ich przyjętymi dzisiaj kryteriami, zaliczono by ich do „lumpenproletariat”, a tymczasem byli to tacy sami jak ja, tyle że znajdujący się w jeszcze gorszych warunkach chłopcy, których losy ukształtowała wojna. W normalnych warunkach goniliby za piłką, ścigali się na rowerach, a tak byli często jedynymi zarabiającymi na utrzymanie swych rodzin. Czasami zwyciężała w nich dusza dziecka – wtedy można było spotkać ich na zrobionych z dwóch desek i łożysk kulkowych hulajnogach, których z kolei ja im zazdrościłem.

Oczywiście nie wszyscy byli w tak trudnej sytuacji. Choć jednakowo byliśmy narażeni na szykany okupanta, niektórzy mieli dobrą sytuację materialną. Przyjaciółka mojej mamy jeszcze z lat młodości, której mąż był właścicielem fabryki, była osobą o skłonnościach filantropijnych. Dzięki temu od pewnego czasu zaczęłam korzystać z obiadów, jakie zapewniała naszej rodzinie. Codziennie dojeżdżałam na Grochowską, gdzie mieszkała. Nawiązałam nowe przyjaźnie z jej dziećmi – Wojtkiem i Dobrunią oraz przygarniętą wojenną sierotą – Kamyczkiem. Był to inny świat. Lekcje muzyki, francuska bona, a także liczne grono polskiej inteligencji, które korzystało z pomocy tego zamożnego, ale i ofiarnego domu. W fabryce pana Stefana Piętowskiego – nazywanego przez nas wujkiem (osadzonego później w polskim więzieniu i zrehabilitowanego dopiero po 1956 roku), znajdowali pomoc i opiekę działacze różnych kierunków konspiracyjnych, jak Włodzimierz Lechowicz, czy Hedda Bartoszek. Tam też znalazła pierwszą pracę zawodową moja siostra.

Solidarność społeczna była dość powszechną cechą, dziś tak rzadko spotykaną u Polaków. Pamiętam, jak któregoś dnia u mojego kolegi Adama Majczyny spotkałem nowego mieszkańca, zabiedzonego, może 6-7 letniego chłopca, o wielkich oczach na wychudzonej twarzyczce. W tajemnicy dowiedziałem się, że jest to chłopiec uratowany z transportu z Zamojszczyzny. Mama Adama, choć sama borykająca się z trudnościami utrzymania rodziny, przyjęła jedno z tych dzieci i zapewniła mu przeżycie wojny.

Mimo, że miałem dopiero 15 lat, poszukiwałem kontaktów z organizacją podziemną. Kiedy rozmawiałem o tym z moim wychowawcą, prof. Sosnowskim tłumaczył mi, że lepiej nie należeć do żadnej, niż trafić do niewłaściwej. Jako jeden z przywódców podziemnego harcerstwa (o czym dowiedziałem się dopiero po wojnie), nie mógł mi dać konspiracyjnego kontaktu. Ale woła czynnego włączenia się do walki podziemnej była silniejsza. Sąsiadka i jednocześnie koleżanka, Hania Kosmalska – sama już zaangażowana – obiecała mi pomoc. Wiosną 1944 roku powiadomiła mnie, że mam wyznaczone wstępne spotkanie organizacyjne. Miałem spacerować z umówionym znakiem na rogu ulicy Koszykowej i Chałubińskiego, aż podejdziesz do mnie dziewczyna, która jest uczennicą szkoły pielęgniarstwa na przeciwległym rogu. Nie pamiętam już hasła, jakie miało nam pomóc we wzajemnym rozpoznaniu. Mijały kwadransy, a oczekiwana dziewczyna nie nadchodziła. Być może obserwowała mnie w tym czasie z okna szkoły, aby upewnić się, czy nie czai się za mną jakiś tajniak. Kolejny termin został mi przekazany znów przez Hankę. Tym razem był to ogród zoologiczny, a właściwie to co po nim zostało. Kiedy siedziałem na ławce w pobliżu klatki z ocalałymi szopami, podeszła do mnie starsza ode mnie dziewczyna. Parę minut później przekazała mi w ręce chłopaka, który zabrał mnie na pierwsze konspiracyjne spotkanie. Było to mieszkanie chyba przy ul. Franciszkańskiej 10 czy 11, przy murze spalonego getta. Było nas czterech, czy pięciu. Ten, który mnie przyprowadził, był dowódcą grupy. Nowych było nas dwóch. Nasz dowódca opowiadał, że organizacja, do której mamy należeć, jest bardzo czynna i prowadzi akcje zbrojne. Między innymi dokonała aktu dywersyjnego w sklepie Meinia przy ul. Żąbkowskiej. Polecił nam przyjąć pseudonimy. Zorientowałem się, że chłopcy za pseudonimy mają nazwiska utworzone od różnych imion, takie jak „Romanowski”, „Bogusławski” itp. Wybąkałem więc „Kaźmierski”.

Zaczęły się ćwiczenia. Na podłodze mieszkania ćwiczyliśmy przez kilka godzin postawy strzeleckie. Później rozeszliśmy się do swoich domów. Kolejny kontakt miał mieć miejsce znów przez „Rene” czy „Rome”. Nie wiem, czy był to pseudonim Hanki, czy też dziewczyny, która mnie bezpośrednio z nimi skontaktowała. Jednak do kontaktu tego nigdy już nie doszło. Czy uznano mnie za zbyt dziecinnego, czy też po prostu nie zdążono z nim do mojego kolejnego wyjazdu z Warszawy?

Tymczasem było lato 1944 roku. Za namową sąsiadki wyjechaliśmy z mamą do kieleckiej wsi Zabłocie, gdzie wynajęliśmy małe pokoiki w gospodarstwie państwa Wiechów. Tam mieliśmy spędzić dwa letnie miesiące, podczas gdy ojciec mój i siostra pozostali w Warszawie. Położona u podnóża lasu wieś, oddalona od większych dróg – wydawała się oazą spokoju. Te jej walory wykorzystywała polska partyzantka. Nieco starsi ode mnie synowie gospodarza, podobnie jak większość tutejszej młodzieży, zaangażowani byli w jakiejś organizacji. To od nich dowiedziałem się o różnicach, jakie dzieliły oddziały partyzanckie i organizacje. Nie pamiętam już, jaki był stosunek miejscowych do najczęściej bywającego tam „Barabasa”. Jednak pamiętam, że niektóre oddziały leśne witane były z lękiem.

Wkrótce dowiedzieliśmy się o wybuchu Powstania Warszawskiego. Odcięci od reszty naszej rodziny, niepokojący się o jej los, stawaliśmy się jednocześnie coraz mniej atrakcyjnymi lokatorami dla gospodarzy. Nasze zasoby finansowe skończyły się, trzeba było zacząć zarabiać na utrzymanie. Nauczyłem się kopać ziemniaki, natomiast próby młócenia cepem nie bardzo mi wychodziły. Możliwości nasze były raczej niewielkie, żyliśmy więc częściej na kredyt, dawany nam przez życzliwych ludzi. Młodzi synowie gospodarzy szykowali się do pójścia na odsiecz Warszawie, ale akcja została odwołana.

Któregoś pięknego, jeszcze lipcowego (a może już sierpniowego) dnia, usłyszeliśmy warkot samolotów. Po chwili posypały się na wieś ulotki i cienkie broszury. Były to materiały PKWN, zawierające jego skład i manifest. Wieczorem w chacie prócz gospodarzy pojawił się stary Bracha – jeden z najstarszych i liczących się mieszkańców wsi. Mnie przypadło zadanie czytania tekstu manifestu. Żywa dyskusja, jaka wywiązała się między dwoma seniorami, była pokazem głębokiej chłopskiej mądrości i ostrożności. Tekst manifestu spotkał się z uznaniem, zwłaszcza w części dotyczącej wsi, a nazwiska Wincentego i Andrzeja Witosów dodawały mu wiarygodności. Jednocześnie jednak pojawiły się wątpliwości. Czy naprawdę przeprowadzona będzie reforma rolna? Jak będzie ona wyglądała? Czy rzeczywiście każde chłopskie dziecko będzie mogło dostać się do szkoły rolniczej? Mój gospodarz nie był jej entuzjastą. On dowiedział się wszystkiego od swego ojca i sam uczył swoich synów. Czego jeszcze może nauczyć taka szkoła? Innego zdania był stary Bracha. „Widzicie Wiechu, bo my to robimy wszystko po staremu, a na świecie z takiej ziemi, jak nasza można zyskać dużo więcej”. Spór trwał do późnych godzin, a zapalczywość w dyskusji obu panów ubarwiała jej przebieg. Zresztą dyskusje między tymi gospodarzami na różne tematy były zawsze pouczające. Z jednej strony konserwatywny Wiech, z drugiej – starszy i biedniejszy, ale otwarty na nowe Bracha. Dyskusje trwały także wśród młodych.

Jako uczeń szkoły średniej cieszyłem się autorytetem. Zwłaszcza często dyskutowaliśmy z Władkiem i Genkiem Wiechami. O mieście, o dziewczynach, wojnie, partyzantce, a czasami i o tym, czego uczyłem się w szkole. Oni też chcieli mnie czegoś nauczyć. Wiezorami próbowali prowadzić mnie na „kawaler-

kę” do miejscowych dziewczyn. Były to sympatyczne spotkania. Nie miały w sobie nic z niezdrowej seksualności. Przypominały raczej salonowy flirt ze szlacheckiego dworku.

Tymczasem niepokój o los bliskich nasilał się. Do okolicznych wsi, a wkrótce także i do Zabłocia, zaczęli napływać wysiedleni warszawiacy, a naszych ani śladu. Jednym z przybyszów był „prof. Pawłowicz”. Piszę to nazwisko w cudzysłowie, gdyż byliśmy przekonani, że nie jest ono prawdziwe. Był chyba ukrywającym się Żydem. Mówił, że jest profesorem gimnazjalnym. Lubilem z nim dyskutować, a i on widocznie podzielał tę sympatię. Chętnie rozmawiał ze mną na różne tematy, a ja – oderwany od szkolnych zajęć – chętnie go słuchałem. Był to człowiek tajemniczy, napiętnowany głębokim smutkiem. Któregoś dnia zniknął ze wsi. Podobno przeniósł się do Kielc, gdzie nie był tak dostrzegalny.

Od przesiedleńców dowiedzieliśmy się o rozmiarze tragedii Warszawy. Jaki los spotkał naszych bliskich? – zastanawialiśmy się. I wreszcie w progu pojawiła się nieznana nam Pani Nela. Upредиła, że za chwilę wejdzie moja siostra Lida, ale żebyśmy nie przestraszyli się jej widokiem, bo naprawdę nie jej nie jest. Po chwili zobaczyliśmy Lidę z obandażowaną szczelnie głową. Już w progu zaczęła odwijać bandaż, aby przekonać, że to prawda. Radości nie było końca. Dowiedzieliśmy się, że ojciec żyje, tylko został zatrzymany w obozie przejściowym w Koniecpolu. Do późnej nocy słuchaliśmy opowiadań o przeżyciach w Warszawie, o pomocy w upozorowaniu rany siostry w obozie w Pruszkowie, o przejściu przez komisję lekarską. Wreszcie o ostatniej przygodzie na stacji kolejowej w Zagnańsku, gdzie życzliwy niemiecki lekarz wojskowy koniecznie chciał zmienić siostrze opatrunek i dopiero stwierdzenie, że był robiony na stacji wyjazdowej odwiodło go od tego zamiaru.

Jednak względnie spokojna dotychczas wieś zaczynała być coraz częściej nawiedzana przez różne oddziały. Niemieckie, własowskie, a w przerwach partyzanckie. Pamiętam jak wybraliśmy się z mamą na grzyby do lasu zaczynającego się w końcu wsi. Dorodne grzyby zachęcały do pójścia do pobliskiego zagajnika. Wydawało się, że w lesie można spotkać najwyżej partyzantów. Niemcy się tu nie zapuszczali. Nagle posłyszeliśmy tętent koni. Z lasu wypadła gromada własowców. Jeden z nich zdążył wprost ku nam. Zobaczywszy obrączkę na ręce mojej matki ściągnął ją z zapytaniem: „Eto zołoto?” Mama odważnie odpowiedziała: „Niet, eto tombak”. Ze złością cisnął obrączkę w trawę. Oddział pomknął w kierunku Wiśniówki.

Najazdy własowców spowodowały, że trzeba było pomyśleć o kryjówce. Wyrzebaliśmy jamę pod podłogą chaty z włazem od obory, przykrywanym potężnym kamieniem. Mogły do niej wpełznąć i zmieścić się 3-4 osoby. Były to głównie dziewczyny i ja. Synowie gospodarza uciekali chyba do lasu, a być może mieli inną kryjówkę. Wielokrotnie ukrycie to nie było konieczne. Najeźdźcy często po zabraniu kilku kur i innych produktów prędko odjeżdżali. Ale były i dni, kiedy przychodziło nam spędzić w ukryciu całą prawie dobę. Raz oddział własowców zatrzymał się we wsi na noc. Gospodarowali w kuchni. Słychać było ich pijackie krzyki i śpiewy. Matka moja i gospodyni musiały im usługiwać. A my drżeliśmy, aby któreś z nas nie kichnęło w tym podziemnym schronie. Nie wszyscy przeżyli tę noc bez szwanku. W sąsiedniej chacie dokonano gwałtu na mieszkającej tam samotnej wdowie i jej dorastającej córce.

Groza wiała w momencie, gdy słychać było nadchodzące oddziały. Tak też było przy zbliżaniu się kolejnego z nich. Ale to wojsko było inne. Inne mundury, inna mowa. Okazało się, że był to oddział węgierski. Kilka dni, jakie w naszej wsi spędzili, były okresem swobody. Czuliśmy się, jakby wróciła Polska. Z moją znajomością niemieckiego służyłem trochę za tłumacza. Przestała istnieć godzina policyjna. Kiedy mamę moją proszono, aby przyniosła coś późnym wieczorem i wyraziła obawy, czy może przejść przez posterunki wartownicze, przemili, młodziutki porucznik Michał Miller powiedział: „Wystarczy powiedzieć tylko, że „polska mamka” idzie, a cię przepuszczą”. Uczyliśmy się nawzajem naszej mowy. Do dziś pamiętam wierszyk: „Et kici liba, liba, el tipeg a mosiba. Ga, ga, libu, libu, ga”. Nie wiem co to znaczy i czy dobrze ten tekst powtarzam. Wiem tylko, że jest to o małej gąsce i że przypomina mi nieliczne piękne chwile mrocznej okupacji. Ale i naszych przyjaciół gnębiły złe przeczucia. Nie wszyscy mieli tak dobre samopoczucie jak por. Miller, który koniecznie chciał zabrać ze sobą do Budapesztu moją siostrę. Pamiętam smutne oczy Janosa Vasa z Komarom, który wspominał okropności powstania warszawskiego i przewidywał dla siebie i swoich przyjaciół najgorszy los. Pożegnaniom towarzyszyły łzy i wymiana adresów na „po wojnie”, jeśli dożyjemy. Później dopiero dowiedzieliśmy się, że wkrótce po wymarszu ze wsi nasi przyjaciele zostali pozbawieni broni i internowani. Znow wrócił mrok okupacji.

Tymczasem z Koniecpola powrócił mój ojciec. Wyczerpany, brudny, ale żywy. Byliśmy wreszcie razem. Trzeba było zarabiać na życie. Ojciec jeździł pod Warszawę, skąd przywoził cebulę, której w Zabłociu brakowało. My z mamą pomagaliśmy w pracach polowych. Mama, mimo że nie posiadała ku temu przygotowania zawodowego, odbierała też porody i uczyła młode wiejskie matki pielęgnowania noworodków. Czasami służyła jako powiernica i doradczyni w trudnych sprawach życiowych. Cechowała ją mądrość i życzliwy stosunek do ludzi. Któregoś dnia nasz gospodarz zażyczył sobie, abyśmy opuścili kłitkę, w której mieszkaliśmy „bo kupił nową szafę i nie ma jej gdzie wstawić”. Ale i tu dyplomacja i stanowczość mojej mamy sprawiły, że pozostaliśmy na miejscu.

Młode warszawianki, które trafiły tu skierowane przez RGO, stały się obiektem zainteresowań miejscowych chłopców. Nie wszyscy oczywiście mogli liczyć na ich wzajemność. Tylko Grześ sąsiadów, który zdążył ukończyć przed wojną szkołę średnią, znalazł sobie wybrankę i wszyscy liczyli, że będzie z tego para. Ale Grześ wkrótce po wojnie wybrał seminarium duchowne. Czy dlatego, że rzuciła go panna?

Tymczasem zbliżała się zima. Z oddali dochodziły już odgłosy artylerii, a wiadomości jakie docierały oficjalnie i nieoficjalnie zapowiadały nadchodzący front niemiecko-radziecki. Kiedy ziemia pokryła się śniegiem zawitał do wsi kolejny oddział. Tym razem niemiecki. Byli to młodzi, przystojni chłopcy, w białych ochronnych kombinezonach, z obsługi dział artylerii przeciwlotniczej. Nie byli agresywni, ale stanowczy. Zapędzili nas do kopania stanowisk dla dział. Nie była to łatwa praca. Zmarznięta ziemia nie chciała ustępować. Nie trwało to jednak długo. Wkrótce nadleciały radzieckie samoloty i ostrzelały niemiecki oddział, a przy okazji i nas, którzy znajdowaliśmy się w pobliżu. Ale nie czułem lęku. To przecież były kule skierowane przeciw naszym wrogom. Leżałem na śniegu w polu brzuchem do góry i obserwowałem samoloty. Świsł kul wydawał się miłym i dawno oczekiwanym dźwiękiem. Nie myślałem, że mogę zginąć. Strzały artylerii przeciwlotniczej nie dosięgły żadnego samolotu, ale ich klekoczący dźwięk pamiętam do dziś. Oddział opuścił wieś. My mogliśmy wrócić do domów.

Zdaliśmy sobie sprawę, że w najbliższym czasie front przetoczy się przez naszą wieś. Trzeba było pomyśleć o schronach przed lotnictwem i artylerią. Wykopaliśmy za stodołą niewielki rów przeciwlotniczy, na wzór tych, jakie kopano w Warszawie. Mróz, który ścisnął ziemię, utrudniał jego wykończenie. Złożyliśmy więc do wiejskiej piwnicy trochę rzeczy, aby móc w niej się schronić i przeczekać najgorsze. Był 17 stycznia. Z położonego na wzgórzu Kajetanowa zaczęły zbliżać się jakieś duże pojazdy. Kule gwizdały koło ucha. Pierwszy raz w życiu tak je słyszałem. Dobięłem do piwnicy, gdzie byli już wszyscy nasi. To chyba front, nareszcie Niemcy uciekają. Pierwszy przedstawiciel wyzwolenческой armii nie budził zaufania. Po stwierdzeniu, że nie ma wśród nas Niemców, usiadł aby odpocząć. Cały czas bawił się granatem, który trzymał w ręce. Podrzucił go i śmiał się, kiedy widział lęk w naszych oczach. Wzbudzanie strachu wyraźnie sprawiło mu satysfakcję.

Pierwsze frontowe oddziały przewijające się przez wieś były groźne i agresywne. Wkrótce nadleciały samoloty niemieckie. Nie skorzystaliśmy z wykopanego rowu przeciwlotniczego. Blżej była piwnica. Ale z naszego rowu skorzystali dwaj młodzi, radzieccy żołnierze. Wkrótce stał się ich grobem.

Front posuwał się szybko. Po pierwszej fali żołnierzy pozostały rozbite ule w sąsiednim gospodarstwie. Do wsi nadeszły tyły armii: chor. Konstanty Czaprin z kantyną Wojentorgu, aptekarz kpt. Naum, oficerowie różnych funkcji i szczebli. Mama moja, znająca język rosyjski z czasów pierwszej wojny światowej, łatwo znajdowała z nimi porozumienie. Trzeba przyznać, że trzy dni, jakie z nimi spędziłem, pozostawiły dobre wrażenia i zatarły niemiłe odczucia z pierwszych kontaktów z wyzwolenческой armią. Dziwiło nas tylko, że czasami oficerowie o niższych stopniach potrafili rozkazywać wiele od nich starszym wiekiem i stopniem. Nie znaleźmy tego z polskiej armii. Nie wiedzieliśmy jeszcze wówczas, co to jest NKWD.

Na drugi lub trzeci dzień po wkroczeniu wojsk radzieckich postanowiliśmy z ojcem wybrać się do Kielc. Za niemieckich czasów miasto było zbyt niebezpieczne, aby do niego jeździć. Kiedy zbliżyliśmy się do rogatek napotkaliśmy pierwszych żołnierzy w polskich mundurach. Po pięciu latach niewoli znów polska czapka i orzełek, inny wprawdzie niż pamiętałem sprzed wojny, ale nasz – polski. Łzy radości i pierwsze rozmowy z umundurowanymi rodakami. W mieście, którego obrazu nie pamiętam, kolejne wzruszenie, które przyćmiło wszystkie inne wspomnienia. Polski teatr wojskowy, wystawiający patriotyczną składankę recytacji, piosenek, a nawet skeczy – które sygnalizowały, że pora zapomnieć o koszmarze, trzeba śmiać się i cieszyć, że przeżyliśmy. Sala była nabita po brzegi mieszkańcami Kielc i takimi przybyszami jak my. Wszyscy żywo reagowali na słowa ze sceny. Łzy wzruszenia i radości płynęły nie tylko po twarzach kobiet i dzieci. Plakali również żołnierze.

Wieczorem powróciliśmy do Zabłocia. Postanowiliśmy wyruszyć następnego dnia z ojcem do Warszawy. Spakowaliśmy na drogę trochę jedzenia, kupiliśmy od żołnierzy buty i szlakiem powracających warszawiaków udaliśmy się w podróż. Zima tego roku była sroga. Trzaskający mróz, skrzypiący śnieg pod butami, iskrzący jak brylanty, a po obu stronach drogi zwłoki poległych żołnierzy niemieckich. Często odarte z obuwia i mundurów, w bieliźnie lub bez. Na drodze do Skarżyska było ich wiele. Obok mogiły z gwiazdą – poległych i pochowanych przez kolegów żołnierzy radzieckich. Nie pamiętam gdzie zatrzymaliśmy się na noc. Kolejny etap prowadził nas do Radomia. I tu niespodzianka – przypadkowi ludzie na ulicy zabrali nas do swojego mieszkania przy ul. Mlecznej. Nakarmili i pozwolili spać w prawdziwej pościeli. Nie znam bliżej Radomia, nigdy więcej nie spotkałem tych ludzi, ale na zawsze pozostała mi sympatia do tego miasta.

Kolejnym etapem były Białobrzegi. Tam przeprawa przez zamarzną Pilicę. Łódź, choć silny, nie wytrzymał ciężaru czołgu. Nie wiem, jaki był los jego załogi. Spod lodu sterczała tylko wieżyczka. I wreszcie Grójec. Stąd Warszawa wydawała się już bliska. Nocleg w najgorszych chyba z dotychczasowych warunkach, u ludzi nastawionych na zarobek. Ale cóż było robić – nie mieliśmy już sił, oddaliśmy

więc większość tego, co jeszcze mieliśmy. Rano przejście przez centrum Grójca, a tam na rynku tłumy. Przygotowywano szubienicę pod jakąś publiczną egzekucję. Nie byliśmy żądni tego widoku. Spieszno nam było do Warszawy. I wreszcie ona. Weszliśmy od strony Grójeckiej. Przy drodze kobiety sprzedawały gorący kapuśniak, z którego chętnie skorzystaliśmy. Widok był coraz tragiczniejszy. Wracające tłumy wygnańców przemierzały miasto szkieletów, choć trasa, którą zdążaliśmy była względnie przejezdna. To w tę, to w tamtą stronę przejeżdżały radzieckie GAZ-y z polskimi i radzieckimi żołnierzami. Wędrowały oddziały piechoty. Ruch regulowały dziewczyny w mundurach, z chorągiewkami. Energicznie i skutecznie rządziły na drodze. Kiedy dotarliśmy do Wisły zapadł już zmrok. Tłum wędrowców zagęszczał się. Powstał dylemat: przechodzić przez zamrożoną Wisłę, czy zmierzać ku wojskowemu mostowi pontonowemu, przez który podobno też przepuszczano. Wybraliśmy to drugie. Nie powiem, aby przy moście powitano nas serdecznie. Gromady pieszych utrudniały ruch pojazdów, dla których ten most był przeznaczony. Toteż nie od razu nas puszczono. Czekaliśmy długo, aż wreszcie powstała luka. „Tępier bystro”. Tłum rzucił się na most. Po ciemku ludzie potracali się i tratowali nawzajem. Za nami rozległy się strzały z pepeszy. Czy do nas? Czy żeby nas pospieszyć? Czy też może bez związku z nami? Ale przecież po okropnościach okupacji po żołnierzach w obcych mundurach spodziewaliśmy się wszystkiego najgorszego.

Z lękiem dotarliśmy na Saską Kępę. Zapukaliśmy do najbliższego domu. Zostaliśmy wpuszczeni i nakarmieni. Gospodarze zapewnili nas, że mimo ciemności możemy śmiało dojść do swego domu. Formalnie obowiązuje godzina policyjna, ale nieprzestrzeganie jej niczym nie grozi. Zresztą było jeszcze wcześniej, a gwiazdziste niebo zastępowało oświetlenie miasta. Przez Targową, Ząbkowską, Kawęczyńską, Otwocką dotarliśmy do naszego domu. I znów czekała nas niespodzianka. Pocisk artyleryjski zniszczył kuchnię. Na razie przygarnęli nas sąsiedzi.

Pięciodniową wędrowkę zniosłem stosunkowo dobrze. Jedyne świerzb, którego nabawiliśmy się wraz z ojcem, przypuszczalnie w Grójcu, dokuczał nam bardzo. Ale smarowanie maścią siarkową i kąpiele po kilku dniach zrobiły swoje. Gorzej podróż tę zniósł mój ojciec. Kupione żołnierskie buty pozostawiły na jego nogach głębokie ślady. Zanim doszedł do siebie upłynęło kilka dni. Musiałem sprawować nad nim opiekę i zorganizować jakoś nasze życie.

Tymczasem moja szkoła wyszła z podziemia. Już od jesieni trwały zajęcia w budynku należącym do Kościoła, przy ul. Kawęczyńskiej 49. Jedyne skład profesorów bardzo się zmienił. Wielu dopiero teraz mogło przedostać się z lewego brzegu Wisły. Ostatnia – czwarta klasa gimnazjum, do której uczęszczałem – złożona była z uczniów różnych kompletów Władysława IV i innych szkół. Nie wszyscy z moich kolegów powrócili. Dowiedziałem się, że mój przyjaciel Wojtek wywieziony został do Niemiec. W mieszkaniu Adama, położonym w niewielkiej willi przy ul. Siedleckiej, gdzie spędzaliśmy dawniej wiele godzin na wojnach morskich, strzelając z małej procy do pływających w wannie plastelinowych okrętów – znalazły siedzibę najwyższe władze nowej Polski. Dla władz tych zajęty został także budynek szkoły przy ul. Otwockiej. Nie mieliśmy jeszcze do niej żadnego stosunku. Wystarczyło, że była polska. Jeden z naszych nauczycieli, chyba biolog, był członkiem Krajowej Rady Narodowej. Nie odczuwało się atmosfery niechęci do narzuconej władzy. Wydawało się oczywiste, że zakończy się wojna i do Polski powróci rząd działający na emigracji.

Tymczasem po kilku tygodniach powróciły do Warszawy moja mama i siostra. Ojciec zaczął pracować przy odgruzowywaniu elektrowni. Zaczęło się biedne, ale względnie normalne życie. W stosunku do moich kolegów, którzy pozostawali cały czas na Pradze byłem spóźniony z nauką. Trzeba było nadganiać. Jednocześnie pociągała mnie możliwość działania społecznego. Wstąpiłem do harcerstwa. Drużynowym był kolega z klasy, Andrzej Polubiec. Przybocznym – Zbyszek Zbiec. Nasz były wychowawca prof. Józef Sosnowski – zastępcą naczelnika harcerstwa – Janusza Wierusz-Kowalskiego. Włączaliśmy się do pracy dla Warszawy. Niedziele, a niekiedy i inne dni tygodnia były dniami odgruzowywania miasta, względnie innych prac użytecznych. Pamiętam jak zwoziliśmy z różnych miejsc książki do Biblioteki Uniwersyteckiej.

Wreszcie zdobyłem stopień harcerski wywiadowcy. Teraz ja mogłem zacząć wychowywać młodszych kolegów. Dostałem zadanie zorganizowania drużyny w jakiejś szkole przy ul. Wileńskiej. Poza Maćkiem Sarną, który był mi szczególnie bliski, nie pamiętam moich harcerzy. A w szkole? Wciąż nie wracało z wywózki do Niemiec wielu kolegów. Ci, którzy byli w szkole, mieli bardzo różne poglądy na panującą rzeczywistość. Choć w większości cieszyliśmy się, że nastąpiła polska władza, to jednak traktowaliśmy to jako stan tymczasowy. Wierzyliśmy, że wojna się skończy i powróci rząd z Londynu. Tak przynajmniej, jak pamiętam, mówiłem moim harcerzom. Niektórzy z naszych kolegów wstąpili do armii. Dowiedziałem się od księdza Blezienia, że do oddziałów Berlinga przystąpiła także moja starsza koleżanka z Krucjaty – Celestyna Czarnota.

Uczyliśmy się intensywnie (choć i wagary też się zdarzały), bo to przecież ostatnia klasa gimnazjum. Pojawiło się kilku nowych kolegów: Adam Motti, późniejszy znany fotoreporter; nad wiek poważny i imponujący mi Staś Jakimowicz; Rysio Gierwatowski (jeśli nie przekręciłem nazwiska), który recytował nam frywolne wiersze Fredry, kraszając przy tym swą miłą twarz rumieńcem wstydu. Wojna

odeszła daleko. Byliśmy poważniejsi i bardziej przez życie doświadczeni, niż dzisiejsza młodzież, ale chcieliśmy jeszcze choć trochę skorzystać z dzieciństwa. Toteż nieraz płataliśmy figle naszym nauczycielom. Nie wszyscy to tolerowali, nie wszyscy mogli to zrozumieć. Pamiętam, jak podobny do Einsteina fizyk prof. Widemann, o którego losach rodzinnych nie wiedzieliśmy, któregoś dnia zirytował się naszym zachowaniem. Ten spokojny i dobronasy, budzący swym wyglądem kpiące uśmiechy człowiek, nagle stał się dla nas postacią tragiczną. Zdenerwowany krzychał: „Moje córki oddały życie za Polskę, polscy żołnierze walczą już pod Berlinem! A wy? Nie potraficie uszanować tego, że możecie się uczyć. A na front...”. Przyznam, że było nam go szczerze żal i wstyd za nasze zachowanie, choć nie przypominam sobie, aby było ono rzeczywiście aż tak bardzo naganne. Jednak lekcje prof. Widemanna były od tej pory szczególnie poważnie traktowane.

Z wielkim zainteresowaniem i nieufnością patrzyliśmy na żołnierzy armii radzieckiej. Liczne propagandowe plakaty w stylu socrealizmu, nieznane nam mundury, często agresywne zachowanie i prymitywny sposób bycia, nie przypominały nam naszej przedwojennej armii, którą jeszcze przez mgłę pamiętaliśmy. Obraz tej armii nie był jednak też taki, jakiego mogliśmy spodziewać się na podstawie przedwojennej naszej propagandy. Za pozytywnym nastawieniem do wojsk radzieckich przemawiał fakt, że przecież to one ostatecznie przepędziły Niemców z naszego kraju. Niejednoznaczny stosunek do Rosjan i przybyłej wraz z nimi polskiej władzy mieli nasi profesorowie. Pamiętam, jak pierwszym zadaniem, jakie otrzymałem od prof. Sosnowskiego było przygotowanie referatu na przypadającą w lutym rocznicę powstania armii radzieckiej. Nie potrafiłem mówić tego, czego nie czułem, toteż starałem się poznać i polubić tę armię. Zwłaszcza, że raczej miło wspominałem radzieckich żołnierzy i oficerów, z jakimi zetknąłem się w Zabłociu.

Oczywiście nie miałem wątpliwości co do Wojska Polskiego. Choć pierwsza poznana kobieta-oficer – kpt. Kwiatkowska – naciągnęła moich rodziców na jakąś kwotę pieniędzy, to jednak polski mundur budził sympatię. Spotkania z naszymi żołnierzami, w tym z ówczesnym podpułkownikiem Marianem Spychalskim, późniejszym prezydentem Warszawy – należały do niezapomnianych chwil. I tylko dziwiłem się, że jeden ze znajomych, który cały okres okupacji działał w konspiracji i walczył o Polskę, gdy ona nadeszła musiał się ukrywać.

Tymczasem świętowaliśmy wolność. Chyba jakaś parada odbywała się 2 albo 3 maja. A może było to 1 maja. Pierwszy raz zobaczyłem różne organizacje młodzieżowe: ZWM, OM „TUR”, Wici i oczywiście moje harcerstwo. Chyba w ZWM mignęła mi twarz jednego z uczestników zebrania na Franciszkańskiej. Czyżby to był wówczas ZWM – do dziś nie starałem się tego wyjaśnić. Szukałem drogi walki z Niemcami nie zastanawiając się w jakich szeregach. W harcerstwie utożsamiałem się z kontynuatorami tradycji Szarych Szeregów. Wydaje mi się dzisiaj, że wtedy jeszcze nie szukaliśmy tego co nas dzieli. Tak jak początkowo dla większości (poza politykami) łączyła wszystkich chęć walki z Niemcami, tak później wspólnym mianownikiem była praca na rzecz zniszczonego i odbudowywanego kraju. Podziały przyszły później, wraz z przekształcaniem się obiecanej w deklaracjach demokracji w stalinowski reżim. A może tylko nie potrafiłem dostrzec tego, co dla bardziej dojrzałych było już jasne? Ale dzisiaj była radość z możliwości wspólnego świętowania pod polskimi sztandarami.

I wreszcie dzień 9 maja. Wielka manifestacja na Placu Teatralnym. Na frontonie spalonego gmachu ocalała część, która pozwoliła na stworzenie czegoś w rodzaju trybuny. Na niej Bolesław Bierut, Edward Osóbka-Morawski, Władysław Gomułka, Michał Rola-Żymierski, Marian Spychalski i cały ówczesny rząd. Tłumy manifestowały na placu radość z zakończenia wojny, gotowość pracy dla zniszczonej ojczyzny. I choć znaczna część zebranych nie akceptowała tej władzy, wszystkich łączyła radość ze zwycięstwa.

Wkrótce uzyskałem tzw. małą maturę i pożegnałem Warszawę. Nie mając warunków do życia w rodzinnym mieście, moi rodzice przenieśli się wkrótce do niezniszczonej Łodzi. Ale to już inny rozdział mojego życiorysu.